Janina Łagoda

W niewielkim przedziale czasu zaliczyliśmy dwie wyborcze kampanie: parlamentarną oraz samorządową i znaleźliśmy się w kolejnej procedurze elekcyjnej, tj. obioru 53 posłów do Parlamentu Europejskiego (PE, Europarlament). Kandydaci już zostali wytypowani i umieszczeni na partyjnych listach wyborczych zarejestrowanych w Państwowej Komisji Wyborczej. Finalną lokację rywalizacji poznamy w dniu 9 czerwca 2024 roku. I od tego momentu będzie się liczyła skuteczność ich pracy, tej nade wszystko na rzecz dalszego doskonalenia funkcji unijnych agend traktatu, jak i państwa reprezentowanego, a w tym przypadku Polski.
W tej chwili widać, że będą z tym problemy, bo partyjne aspiracje są różnorodne. Te wybory będą o tyle istotne, że mogą ważyć o byciu lub nie naszego kraju w tym unijnym przedsięwzięciu, bowiem w państwach UE, także i u nas trendy odśrodkowe przybierają na sile.

Wyłanianie reprezentacji

Dobór kandydatów to bodaj najtrudniejszy i bezmiernie odpowiedzialny moment, który będzie ważył na kadencyjnym dorobku tej niewielkiej grupy deputowanych i każdego z nich z osobna w tym międzynarodowym środowisku. Dlatego też wobec osób pretendujących do kandydackich list winny być zastosowane szczególne wymogi i to począwszy od rzetelnej oceny dotychczasowego merytorycznego dorobku kandydata w określonej dziedzinie po jego społeczną wrażliwość i moralne kryteria, a w odniesieniu do ponownie wybierających się do Brukseli, także ich dotychczasowe konkretne dokonania w tej najważniejszej dla nas traktatowej europejskiej organizacji, i tak na rzecz doskonalenia pracy jej struktur, jak i dbałości o interesy własnego kraju.
Istnieje uzasadniona obawa, że procedura pierwotnego wyłaniania kandydatów na europosłów jest spłaszczona, i jak zwykle w przewadze pozostają partyjne zasługi kandydata, jego potulność przed liderem, taranowa krzykliwość wobec przeciwników partii i jej wodza etc. W rodzimych warunkach górę biorą te właśnie przypadłości kandydata, a nie jego merytoryczne kwalifikacje, co jest potwierdzeniem tego, że w naszym kraju obowiązuje, wprawdzie niepisany, ale partyjny systemem wyłaniania kandydatów do PE, zaś szefowie partii stali się ostatecznymi decydentami w zakresie tworzenia reprezentacji kraju w tej europejskiej instancji. Sytuacja paradoksalna polegająca na tym, że traktat akcesyjny podpisał rząd mający referendalne obywatelskie przyzwolenie społeczeństwa, ale w tej chwili o objęciu tych stanowisk decydują wyłącznie osoby z partyjnego namaszczenia, co w praktyce bywa utożsamiane z usłużnością ideologiczną desygnowanego, a zaklęcia o politycznej neutralności niewiara przytłacza.
W toczącej się w kraju batalii o europarlamentarną godność z łatwością dostrzec można polityczną bezwzględność w zabieganiu o wybór członków własnej partii. Argumentami najczęściej są wyprane slogany o jedynie słusznej drodze po jakiej partyjne ugrupowanie będzie gruntowało dobrobyt państwa i obywateli we współpracy z UE. Propozycji o budowaniu powszechnej szczęśliwości pada co niemiara, ale już metodyczne konkrety ich wdrożenia tajemniczość skrywa. Pustosłowie prymat wiedzie.
Szranki toczącej się batalii praktycznie wypełniły dwa ugrupowania, tj. koalicje: demokratyczna

i konserwatywna. To między tymi dwoma ugrupowaniami zapewnie rozstrzygnie się dystrybucja euromandatów. O to zabiegają ich przywódcy, którzy od lat pozostają między sobą w konflikcie. Nadarzyła się zatem kolejna okazja, aby ustalić swoją wyższość. Nie będzie to łatwa sprawa, bo siły niemal wyrównane, a zacietrzewienie między obozami ogromne i nadal jest podsycane. Żal tylko tego, że w tej rodzimej kłótni są marnotrawione siły, które mogłyby być wykorzystane w efektywnej współpracy RP i UE.

Dlatego tak ważny jest system wyłaniania kandydatów do brukselskiej instancji. Uczynić zatem należy wszystko, aby odciążyć go z partyjnej rywalizacji i przesunąć zwrotnicę na zatroskanie o mnożenie dobrobytu państwa i obywateli. Sprawa ambicjonalnie trudna, ale nie beznadziejna. Początkiem tego procesu winna być modernizacja procedury wyłaniania kandydatów do brukselskiego parlamentu, i jak na demokratyczne państwo przystało, kierunek jest jeden, a mianowicie ograniczanie partyjności wyborów na rzecz poszerzania ich obywatelskiej powszechności, co wbrew pozorom nie jest trudną sprawą. Warunek jeden: zgoda narodowa przy jednoczesnym temperowaniu zacietrzewień partyjnych przywódców, bo one są ogromne. Rzecz też w tym, aby i nie przenosić problemów krajowych na międzynarodowe parlamentarne forum, bo większość z nich da się rozwiązać tutaj, na miejscu.

Strzępienie sukna

Bitewne pole o europarlamentarne posady, realnie rzecz ujmując, okupiły dwa partyjne ugrupowania, tj. Koalicja Obywatelska i Zjednoczona Prawica. Pozostałe stronnictwa zabiegające o unijne fotele stanowią odległe tło dla owych dwóch politycznych potentatów, stwarzając zaledwie mdłe pozory pluralizmu, dając zarazem skromną alternatywę wyborcom. Pamiętać jednak należy o tym, że społeczne oczekiwania daleko wybiegają w przyszłość i nie tolerują zastępczych propagandowych oświadczeń. Lud twardo stąpa po ziemi, ale nie zawsze jest mu dane ją uprawiać z pożytkiem. Ten proces bynajmniej nie dobiegł końca, tak, jak nie osiągnęły zerowego pułapu bezsensowne spory między niedawno sprawującymi ośmioletnią władzę i wygranymi w ubiegłorocznych październikowych krajowych wyborach parlamentarnych.

Przegrani nadal uważają się za wygranych, bazując na statystycznym wskaźniku głosów oddanych przez wyborców na prawą i sprawiedliwą partię. Nie peszy ich też utrata stanowisk w urzędach i spółkach skarbu państwa. Wszystko to traktują jako chwilowe nieporozumienie. Partia ta w natłoku takich myśli zaczyna zachowywać się nieodpowiedzialnie, nie zdając sobie sprawy z tego, że jest to zwyczajne szkodnictwo wobec interesów państwa i społeczeństwa. Ale cóż na to poradzić, jeśli taka jest logika pojmowania patriotyzmu przez prezesa prawej i sprawiedliwej formacji.

Z takim to umysłowym balastem prezes wtargnął kolejny raz na arenę walki, tym razem o zwycięstwo w wyborach europarlamentarnych, a wraz z nim fanatycy jego poglądów oraz plejada wyrachowanych graczy, wśród których sporo takich, którym przestępstwa nie były obce. Zasadniczym agitacyjnym przesłaniem eurowyborczej marszruty, wedle prezesa, jest zreformowanie Unii, bo ponoć nie jest już tą organizacją, do której wstępowaliśmy dwadzieścia lat temu, co jest sprawą oczywistą. Dalsze jej funkcjonowanie w tym kształcie, wedle niego, grozi nam utratą suwerenności. Jest to prymitywny straszak obliczony na lokalnych, tj, krajowych wyborców, nie mający żadnego pokrycia w zasadach funkcjonowania tej organizacji. Z jej traktatowego przesłania i dotychczasowej praktyki wynika zupełnie coś innego. Ogląd korzyści stamtąd do nas płynących, rysuje całkowicie odmienny obraz od wizji żoliborskiego

myśliciela. I nie trzeba wsłuchiwać się w godne ubolewania mityngowe występy prezesa, aby tuż za oknem raczyć się tym, co przynależność do Unii nam przyniosła. Warto też byłoby zafundować prezesowi, nawet na koszt unijnych podatników, krajoznawczą eskapadę, oczywiście bez szczelnego otoczenia jego osoby dworakami, aby mógł ujrzeć to, co zawdzięczamy Unii. Prezes chyba ugrzązł w zaściankowej interpretacji otoczenia, a umowę akcesyjną pomylił z aktem kapitulacyjnym państwa.

Niepojętą sprawą jest, aby krajowa partia sprawująca do niedawna rządy i do znudzenia szermująca niepodległościowymi zawołaniami, a wszystkich innych podejrzewająca o zdradę narodową, trafiając na ławy opozycji nagle zaczęła dawać wiarę imaginacji, że nowa władza, to zespół zdrajców. Pomijając absurd tego zarzutu, obnażyła swoją nieudolność operacyjną w kontrwywiadowczej ochronie państwa, którą przez osiem lat sprawowała, chociażby tym punkcie, że zdrajcą, szpiegiem, dywersantem etc. nie staje się z dnia na dzień. Z drugiej strony beztroskie szermowanie tak ciężkimi oskarżeniami bez wskazania dowodów jest ohydnym, wstrętnym łgarstwem za co wygłaszający te epitety winien ponieść surową karę i po wsze czasy zostać skreślony z repertorium polityków. Tak powinno się stać, jeśli autentycznie chcemy plenić warcholstwo, a tego u nas pod dostatkiem.

Nowogrodzka partia, do niedawna rządząca, a teraz opozycyjna chyba posiada jakiś chorobliwy, nieodgadniony, głęboko nawarstwiony kompleks niższości wobec UE i innych instytucji międzynarodowych, których jesteśmy członkiem, traktując je z podejrzliwością jako obce ciała, czyhające na naszą zagładę, czyli starcia Polski z mapy świata i uczynienie nas niewolnikami. Jest to motto niemal każdego wiecu organizowanego przez to ugrupowanie z udziałem prezesa. W światowych opiniach to niedorzeczna, a przy tym zgubna polityka, wzmacniająca izolację naszego kraju w świecie.

Smutek gnębi serce, kiedy to zawstydzające i w rzeczywistości antypaństwowe slogany wygłaszane przez prezesa na przedwyborczych mityngach są nagradzane brawami. Czy owych klakierów nie stać na refleksję, na chwilę zastanowienia się nad sensem i wiarygodnością słów prezesa? Bezwiedne zaufanie niekiedy sporo kosztuje, a w tym przypadku straty są łatwo policzalne, również te moralne.

Inaczej być nie może

Oczywistością jest, że prezesowi prawej i sprawiedliwej partii zależy wyłącznie na tym, aby mógł dysponować nieograniczonym władztwem, co wprawdzie dziwić nie powinno, bo takie są aspiracje wielu zmierzających po władzę. W tym jednak przypadku mamy do czynienia z wysublimowanym egoizmem zasklepionym we własnym ego. Stąd zapewne niezdrowe tendencje ku jednoosobowemu trybowi zarządzania instytucjami państwa i minimalizowanie współpracy międzynarodowej. Taki model państwa to partykiularz o autorytarnych zarządczych tendencjach. Dlatego też opoką kampanii wyborczej do Europarlamentu prowadzonej przez prawą i sprawiedliwą partię jest negacja wszystkiego, co demokratyczne we współpracy między członkami tej organizacji. Mnożenie haseł o potrzebie zreformowania Unii, ale według modelu z Nowogrodzkiej i najlepiej pod auspicjami tamtejszych działaczy, nie powinno dziwić, chociaż z góry wiadomo, że to utopia.

Obiór metody dochodzenia do tych celów jest tradycyjny i identyfikuje się z tym z jakimi ten obóz dotąd się posługiwał, a więc konfliktowanie społeczeństwa. A to zabiegi wielce niebezpieczne, bo osłabiające bezpieczeństwo państwa. Skłócony naród, nie chroniony przez państwo jest łatwym łupem nieprzyjaciół, a na ich brak, niestety, nie możemy narzekać. Warto

byłoby też zgłębić istotę definicji patriotyzmu, jakiej hołduje to największe opozycyjne gremium. Werbalne miłowanie ojczyzny jest szlachetnym przymiotem, ale nadal pozostaje tylko niespełnionym marzeniem.

Konfliktowanie społeczeństwa w marszu na Belweder, to opatrzona do znudzenia przypadłość prezesa z Nowogrodzkiej. Nie ma w niej przypływu świeżości, jest natomiast zasklepienie się w zmurszałej czeluści utrudniającej rozsądny ogląd nowoczesnego otoczenia, jakim stał się współczesny świat, od którego prezes stroni.

Rządzący krajem demokraci, aby nie zaprzepaścić zwycięstwa, muszą zastosować takie metody zarządzania państwem, aby społeczeństwo dostrzegło ich dobre intencje wsparte czynami zarówno doskonalącymi procesie dalszej demokratyzacji kraju, jak i w przywracającymi pierwotny stan tego wszystkiego, co zdemolował poprzedni rząd.

Dlatego też tak ważkie znaczenie ma wartkość prac komisji rozliczających afery poprzedników oraz poddanie pod osąd sprawców popełnionych błędów. Będzie to także jeden z ważkich warunków budowania wiarogodności rządu, co z dużym prawdopodobieństwem przełożyć się może na liczbę euromandatów, jakie przypadną rządzącym ugrupowaniom. Natenczas jest to sprawa o znacznym ciężarze gatunkowym bowiem warunkuje dalsze kierunki rozwoju kraju, ale też będzie miała przemożny wpływ na istotę funkcjonowania UE w jej społecznych, prawnych, a nade wszystko w gospodarczych obszarach.

Coraz częściej bowiem słychać głosy krytykujące powolność przebiegu procesów audytorskich wszczętych przez nowe władze, a dotyczących niektórych czynów swoich poprzedników. To niepokoi i budzi podejrzliwość, że zapowiedzi Koalicji Demokratycznej w odniesieniu do konieczności naprawienia tego wszystkiego, co zepsuła prawa i sprawiedliwa partia były tylko propagandowymi zawołaniami. Na szczęście są to pojedyncze głosy, ale się pojawiają. I jeśli nie nastąpi przyspieszenie zmian, to krytyki będzie przybywać. Nie każdy z sympatyków demokratycznych przeobrażeń wnika z należytą troską i zrozumieniem w stopień trudności dokonywanych zmian, z których najpoważniejszą jest wola legislacyjna prezydenta RP oraz hamulcowa taktyka niektórych instytucji państwa (np. Trybunału Konstytucyjnego). Jest jednak nadzieja, że i w tych przypadkach nastąpią pozytywne zmiany. To tylko kwestia czasu i wzmocnienie ładunku cierpliwości. Zatem wbrew czarnowidztwu niektórych, może być inaczej.

Prawicowe negacje

Wzajemne krytykowanie się przeciwników politycznych, to rzecz normalna i potrzebna, bo w przeciwnym razie zniwelowana zostałaby odmienność ideologiczna, a skutki monopartyjności są nam dobrze znane. Problem w tym, aby owe polityczne scysje przebiegały w cywilizowanych ramach i wolne były od kłamstw, pomówień, intryg etc. i kończyły się koncyliacją. Jest to wprawdzie trudny do osiągnięcia model współdziałania, ale w wielu przypadkach realny. W naszych krajowych warunkach niektóre ugrupowania polityczne mają jednak z tym problem, a już na pewno dotyczy to prawej i sprawiedliwej partii, która wyzbyła się zdolności koalicyjnych, a w codzienności skłania się ku autokracji.

Polską scenę polityczną od dawna zdominowały dwa ugrupowania, które to na przemian sterują krajem lub okupują opozycyjne ławy. Niepokojące jest to, że ze strony nowogrodzkiej formacji nie ma woli współpracy i to nie tylko z Koalicją Demokratyczną, ale także z innymi partiami, jak i z samorządami oraz niewygodnymi dla niej pozaparlamentarnymi organizacjami. Podskórna inklinacja prezesa z Żoliborza do autorytaryzmu stanowi główną przeszkodę w dbałości o wspólny dom. Na przedwyborczych wiecach z nachalną obfitością sypią się hasła o

patriotyzmie, niepodległości, mocarstwowości, militarnej mocy etc., ale dogłębna analiza zawartości tych pojęć objawia ich lichą merytoryczną zawartość.

I tutaj jest wymagana zgoda wszystkich politycznych sił, aby mocarstwowość oznaczała mocarstwowość. Bez współdziałania wszystkich ze wszystkimi będziemy traktowani przez świat jako histeryzujące państwo, które poza prowokacyjnymi pretensjami nie dodaje nowych wartości do europejskiego bogactwa.

Zgoda narodowa waży o poziomie mocarstwowości i jego wewnętrznych relacjach, ale nade wszystko o polityce zagranicznej państwa. W tej chwili nie ma takiego przesłania, a to miejsce wypełnia po brzegi bezwzględna, momentami nieprzyzwoita międzypartyjna walka. I nie idzie tutaj o interesy państwa, ale o partyjniackie, prymitywne, krótkowzroczne klakierskie uznanie. I na takich to fundamentach został zbudowany eurowyborczy program prawej i sprawiedliwej partii, który zasadniczo różni się od prounijnych tez Koalicji Obywatelskiej.

Sprawa wyborów europarlamentarnych nabrała w kraju wyrazisty kształt, bo rozdzielona została na tych, którzy UE od początku naszej przynależności do niej w całej rozciągłości aprobują, nie dostrzegając żadnego zagrożenia z jej strony dla naszej suwerenności i na tych, którzy mają obiekcje co do mechanizmów jej funkcjonowania, doszukując się bliżej niezdefiniowanych wtrąceń ze strony Brukseli w nasze narodowe sprawy. Do UE państwo przystąpiło dobrowolnie z woli narodu, podporządkowując się regułom zawartym w traktacie akcesyjnym, który jak każda umowa międzynarodowa, aby była użyteczna, musi być realizowana na zasadzie wzajemności. W przeciwnym razie staje się martwym dokumentem, albo źródłem antagonizmów, a to już przekreśla sens jej istnienia.

Rodzima Zjednoczona Prawica obrała ten drugi kierunek podejścia do jakże ważkiego traktatu, zarzucając mu nawet próbę zniewolenia państwa, co jest prymitywną niedorzecznością, przytłoczoną niewyobrażalnymi korzyściami stamtąd płynącymi. W tej chwili są to wprawdzie werbalne slogany negacji, których nie wolno ignorować ale po chwili mogą zostać zmaterializowane, jeśli w kraju eurowyborczy sukces odniesie nowogrodzka formacja, a na poziomie PE zbrata się z bliźniaczym krytykanckim jadem płynącym wobec UE, które sukces mogą odnieść i zdominować PE. W jakim więc zakresie tak obcesowe zamiary mają pomóc dalszemu rozkwitowi Polski. Jest to chyba skryta tajemnica prezesa z Nowogrodzkiej, ale ten segment istnienia tyczy milionów Polaków, spośród których większość ma ograniczone zaufanie do partyjnych myśli wodza i schlebiających mu akolitów. Warto, aby rozwarli na oścież powieki i znaleźli czas na chwilę skupienia w ocenie plusów i minusów pisowskiego trendu. Dotąd ma ono jedno przesłanie, aby zreformować UE wedle pisowskiego wzorca i najlepiej gdyby jej kierownictwo spoczęło w ręku prezesa, a prezydium tworzyli nowogrodzcy totumfaccy. Nic bardziej tragicznego dla interesów Europy i Polski nie mogłoby się wydarzyć.

Na dobrą sprawę nie wiadomo z jakich przyczyn i w czyim interesie prezes stał się wrogiem UE, kiedy to wiadomo, że optował za integracją z nią. Międzynarodowe pakty to płynna materia ulegająca współrzędnym modyfikacjom, ale nigdy nie stanowią o wyższości nad krajowymi regulacjami, chyba że nastaje czas rozbiorów, okupacji etc.

Wszystko wskazuje na to, że prezes prawej i sprawiedliwej partii nie pojednał się z dobrobytem płynącym z unijnego traktatu i usiłuje wszelakimi sposobami przekonywać społeczeństwo o zniewoleniu. Naiwne to postrzeganie rzeczywistości, bo liczy się komfort bycia w codzienności, a nie w wyimaginowantch obskuranckich protezach.

X X X

Czerwcowe wybory posłów do Parlamentu Europejskiego (liczy on 705 członków, w rym 53 Polaków, tj. 7,5%) mogą dla nas okazać się na równi ważne z procesem akcesyjnym sprzed dwudziestu lat. Ich wagę stymulują głosy antyunijne odradzające się w wielu europejskich państwach, także u nas. Prym wiedzie Zjednoczona Prawica, która wprawdzie oficjalnie optuje za byciem w tym gronie, ale pod warunkiem, że UE i funkcjonowanie jej agend zostanie zreformowane na modłę wyobrażeń prezesa prawej i sprawiedliwej partii, co jest wprawdzie w tej chwili niemożliwe, lecz na krajowym rynku wyborczym może nie zabraknąć zwolenników tej opcji, a przegrana demokratycznych ugrupowań na pewno pogłębiłaby konflikt naszego państwa z UE. Takie zamysły ustawicznie towarzyszyły rządzącym przez ostatnie osiem lat. Konsekwencje tego były szkodliwe dla interesów kraju i społeczeństwa. Zawziętość prawicowych władców była tak nieprzejednana, że nawet rezygnowali z należnych nam unijnych funduszy.

W tej chwili winą za ówczesny stan rzeczy usiłują obarczyć aktualnie rządzących, a niemal klasyczną przypadłość stanowi tzw. europejski zielony ład, będący pakietem inicjatyw politycznych, mających na celu skierowanie UE na drogę transformacji ekologicznej, a którego współautorem jest Komisarz UE ds. rolnictwa, desygnowany na to stanowiska przez prezesa prawej i sprawiedliwej partii, na co także wyraził zgodę ówczesny premier. Ale dla prezesa nie było to przeszkodą, aby zorganizować marsz protestacyjny przeciwko obecnemu rządowi w Warszawie oraz uruchomić uśpiony NSZZ Solidarność i obudzić jego przewodniczącego, przerażająco uzależnionego od poprzedniej władzy.

Niesmacznym i zarazem żenującym zjawiskiem jest kandydowanie do PE osób, które co dopiero tam byli, ale włączyli się w krajową kampanię wyborczą i zostali deputowanymi do parlamentu krajowego, a co niektórych jednocześnie powołano na wysokie urzędnicze stanowiska państwowe. Jedynym wytłumaczeniem tego może być dobro własne, a nie Polski, zaś w tle okłamywanie wyborców. Czyżby liderzy partii nie mieli możliwości wyboru. Tak chyba nie jest, ale synekury dla najbardziej lojalnych nadal obowiązują. Nie zważając zatem na potrzeby Polski, prywata nadal święci triumfy, a mniej fachowość, znajomość języków obcych i zasad funkcjonowania unijnych agend, osobiste kontakty międzynarodowe, dyplomatyczne umiejętności etc. Miejmy nadzieję, że wynik wyborów w istotnym zakresie wesprze demokratyczne trendy. Jest jeden warunek: frekwencja wyborcza.

Janina Łagoda